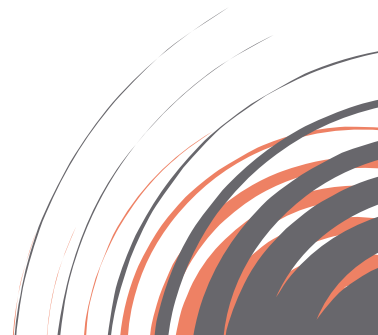




- szkoła muzyczna w sosnowcu
- maria golanka - 45+
- jerzy fila - wiersze
- książka roku - miłek z czarnego lasu

ewa nowińska

wystawa malarstwa
pracownia25

aleksandra kaleta-żmuda + agnieszka łapka +
ewa nowińska + marcelina rydelek



Reprodukowany dziś na okładce obraz jest autorstwa Ewy Nowińskiej, młodej absolwentki Liceum Plastycznego w Dąbrowie Górniczej i Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Autorka wraz z trzema koleżankami (Marceliną Rydelek, Aleksandrą Kaletą – Żmudą i Agnieszką Łapką) wystawiały przed miesiącem swe prace w salach Zamku Sieleckiego pod wspólnym tytułem Pracownia 25.

Nastrojowy, tajemniczy, egzotyczny obraz wyniosłego wybrzeża klifowego zachodniej Irlandii urzekł nas szczególnie, stąd ta, a nie inna reprodukcja. Autorka zna dobrze to wybrzeże, bo od pewnego czasu przebywa w Irlandii, tam tworzy i organizuje życie artystyczne licznej Polonii.

Ewa Nowińska, mimo młodego wieku odniosła już sporo sukcesów. Jest autorką projektu plakatu Międzynarodowej Wystawy Rysunku „Figurama”, pracowała przy konserwacji polichromii w kościele św. Joachima w Sosnowcu, ilustruje książki.

Reprodukujemy także prace koleżanek Ewy. O jednej z nich, o Aleksandrze Kaletce czytelniczki SOSNartu mogli dowiedzieć się w numerze 5, kiedy to zamieściliśmy krótki wywiad z młodą artystką.

red.



Aleksandra Kaleta-Żmuda



Agnieszka Łapka



Marcelina Rydelek

na okładce Ewa Nowińska "Irlandia"

SOSNart

Bezpłatny dodatek do Kuriera Miejskiego
Czasopisma Samorządowego Sosnowca
Wydawca: SCW Sosnowiecka Korporacja Wydawnicza Sp. z o.o.
ul. 3 Maja 22, 41-200 Sosnowiec
tel. (032) 266 76 26 Fax (032) 266 42 59

redaktor prowadzący: Tomasz Kostro
projekt graficzny i skład : Ryszard Gęsikowski

Adres korespondencyjny:
ul. Małachowskiego 3 41-200 Sosnowiec
Wydział Kultury i Sztuki UM. tel.: (032) 296 06 47
email. sosnart@um.sosnowiec.pl

ZAGŁĘBIOWSKIE RODY

27 listopada br. staraniem Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu przy wydatnej pomocy Pracowni Życia Literackiego na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim przy Instytucie Nauk o Literaturze Uniwersytetu Śląskiego odbyła się VII Sesja Zagłębiowska poświęcona artystom z Zagłębia.

Jak zwykle pierwszym punktem obrad była prezentacja publikacji będącej pokłosiem Sesji ubiegłorocznej. To właśnie „Zagłębiowskie rody”.

Niepozorna z zewnątrz książeczka niesie w sobie wiele wiadomości, sporą dawkę wiedzy historycznej, trochę publicystyki na temat współczesnego regionalizmu, a nawet nieco nostalgicznych wspomnień. Może nawet za wiele jest w książce różności, tematycznej i metodologicznej, żeby można potraktować publikację jako przemyślaną, zwartą całość. Bo jakże porównać skrót monograficznego opracowania o rodzie Dietlów pióra Agnieszki Miki, czy podobny w charakterze rozdział Jarosława Krajniewskiego o rodzie Mieroszewskich z poetyckim niemal wspomnieniem po Ciechanowskich autorstwa Włodzimierza Wójcika? To różne ujęcia i różna ich wymowa determinowana przecież innymi zainteresowaniami zawodowymi autorów i ich temperamentem. To samo dotyczy tematu szkiców: z jednej strony mamy przedstawione kilka pokoleń czołowych przemysłowców przybyłych do Zagłębia w wieku XIX, z drugiej zaś naszkicowany ledwie obraz tych ziem pozostający we władaniu różnych rodów rycerskich przez wieki całe. Z oczy-

wistych przyczyn Elżbieta Oleksiak, autorka szkicu „Rody zagłębiowskie w zbiorach regionalnych” nie mogła przedstawić pełnych dziejów nawet wybranych rodzin. Materialnych śladów zachowało się niewiele, są rozproszone. Nie należy też zapominać, że Zagłębie Dąbrowskie zaistniało dopiero, jako region przemysłowy. Do tego czasu było głąchą prowincją tak też traktowaną przez licznych właścicieli ziem i wiosek, którzy co prawda dziedziczyli tu jakieś dobra, ale nawet dla nich nie były oczkiem w głowie, skoro byli właścicielami innych, rozleglejszych i położonych w ówczesnie o wiele atrakcyjniejszych miejscach. Niezależnie jednak od wszystkiego, co napisano powyżej, książka jest cenną pozycją w każdej biblioteczce zainteresowanego dziejami regionu, zwłaszcza, że wyposażona została w indeks osobowy, a każdy szkic powołuje się na bogatą literaturę przedmiotu. Książka też przypomina na koniec inne publikacje Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sosnowcu odnoszące się do poprzednich Sesji zagłębiowskich.

W „Zagłębiowskich rodach” znajdziemy: Szkic Ewy Kosowskiej, *Więzy krwi i dziedzictwo lokalne*, będący i refleksją teoretyczną i swoistym wstępem. Jarosława Krajniewskiego, *Mieroszewscy w Zagłębiu*, przedstawiający losy rodu aż po dzień dzisiejszy. Ryszarda Kaczmarskiego, *Rodzina Lamprechtów*, wspomnianej już Agnieszki Miki *Życie i działalność Dietlów 1878 - 1945*, Anny Makarskiej *Sosnowieccy przemysłowcy - Schönowie*, Włodzimierz Wójcika, *Ciechanowscy*, Janusza Lewandę, *Zarzyccy* i wresz-



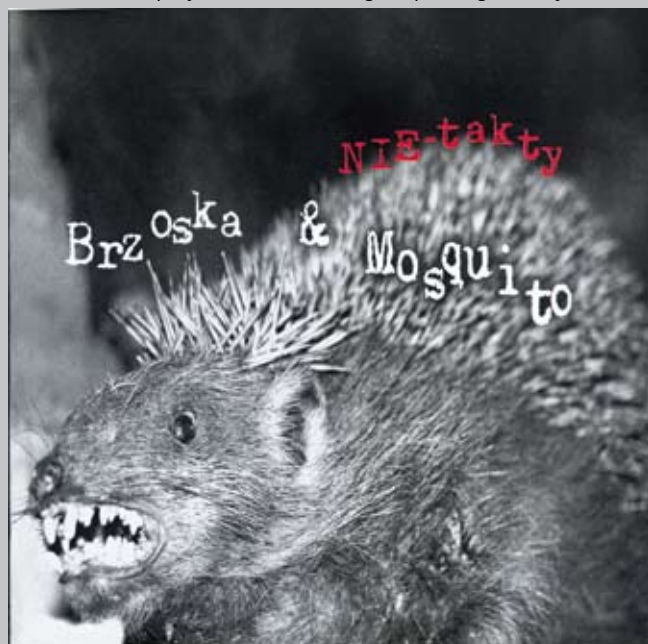
cie Elżbiety Oleksiak, *Rody zagłębiowskie w zbiorach regionalnych*.

***Zagłębiowskie rody.** O dziedzictwie lokalnym, O Mieroszewskich, O Lamprechtach, O Dietlach, O Schönach, O Ciechanowskich, O zbiorach regionalnych.

Pod redakcją Mariana Kisiela i Pawła Majerskiego wydana nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Gustawa Daniłowskiego. Sosnowiec 2008.

NIE-TAKTY WOJTKA BRZOSKI

Płyta jest dodatkiem do ogólnopolskiego miesięcznika kulturalnego "Lampa" nr 12/2008



Orkiestra uczniów ZSM i Konserwatorium Muzycznego w Roubaix, dyrygent Szczepan Kurzeja.



w kolejności od lewej;- D.Grolik - dyr. ZSM Jerzy Majka - nauczyciel klasy skrzypiec Kons. Jolanta Smolarska - nauczyciel klasy wiolonczeli Kons. Jean-Luc Dimula - dyrektor administracyjny Konserwatorium.



SZKOŁA MUZYCZNA W SOSNOWCU POWSTAŁA W STYCZNIU 46

Rozmowa z dyrektorką szkoły Dorotą Grolik



Orkiestra Konserwatorium Muzycznego w Roubaix

SOSNart: Wedle zapisu Państwową Szkołę Muzyczną powołano do istnienia 7 stycznia 1946 roku. Powstała z niczego?

Dorota Grolik: Oczywiście, że nie z niczego, mimo zdania mojego wielkiego poprzednika Bronisława Olesia, które niebawem przytoczę. Choć to był bardzo trudny powojenny czas, już wiele miesięcy wcześniej powstał miejscowy oddział Związku Zawodowego Muzyków oraz Sosnowieckie Towarzystwo Muzyczne. W I tomie Kroniki Szkoły Muzycznej w Sosnowcu czytamy (pozwolę sobie przytoczyć ten dość obszerny tekst z uwa-

gi na informacje, jakie zawiera, a bardziej jeszcze ze względu na styl, jakim się wówczas oficjalnie posługiwano.

„ W maju 1945 roku, gdy minęła groza wojny, a Państwo Polskie rozpoczęło budowanie od podstaw życia gospodarczego i kulturalnego, nie mogło miasto Sosnowiec pozostać w tyle na polu szerzenia kultury muzycznej wśród swoich mieszkańców. Stąd też kierownik miejskiego Wydziału Kultury i Sztuki ob. Janina Kiepus-Osiecka weszła w kontakt z naczelnymi władzami miasta, a przede wszystkim ze starostą Walentym Paterkiem z jednej strony, z drugiej zaś – z muzykiem krakowskim ob. Lechem Bursą. (...)

Wobec tego, że miasto nie dysponuje żadnymi funduszami na ten cel, należy wszelkie poczynania oprzeć na inicjatywie społeczeństwa; W tym celu należy założyć placówkę społeczną – Towarzystwo Muzyczne

Głównymi celami Towarzystwa ma być stworzenie chóru i zespołu instrumentalnego, zorganizowanie amatorskiego ruchu koncertowego, a po osiągnięciu możliwych warunków materialnych, założenie szkoły muzycznej, prowadzonej pod egidą Towarzystwa; Dla wykonania zamierzeń Wydział Kultury i Sztuki przeznacza oddany mu do dyspozycji przez Zarząd Miejski lokal przy ul. 3-go Maja 11...” I tak dalej i dalej. Lokal był niedysiejszym hotelem prowadzonym przez brata Paula Godwina, nieco zapomnianego wielkiego skrzypka rodem z Sosnowca. A potem w styczniu 1946 powstała Szkoła. Nie-

bawem zyskała lokal w pałacu Dietlów przy ulicy Żeromskiego, gdzie osiadła na wiele, wiele lat. Siedziba była okazała, ale też w bardzo złym stanie technicznym. Jak podkreśla wieloletni dyrektor placówki Bronisław Oleś: „Powstała w wyniku trudu społecznego. Nie tworzyło jej państwo, biedne i okaleczone wówczas po straszliwej wojnie, lecz tworzyła ją garstka entuzjastów: pani Janina Kiepus-Osiecka, pan Lech Bursa, pan Józef Placek, pani Stefania Sakładzka, pan Wiesław Poniatycki. Wymieniam te nazwiska, bo to oni zadecydowali, że szkoła powstanie z niczego...” To ten właśnie obiecany cytat. Rzeczywiście, materialnie było bardzo mizernie, ale byli ludzie, oddani i zdolni.

SOSNart: Zachował się zapis w kronice opowiadający o pierwszym roku ?

D.G.: Tak. Kronika była skrupulatnie prowadzona i dała podstawę do opracowań dokładnie udokumentowanej historii Szkoły. W pierwszym roku działania uczęszczało do niej 50 uczniów pod kierunkiem 9 nauczycieli. Istniały klasy: fortepianu, śpiewu, skrzypiec i akordeonu. Pierwsza obsada kadrowa przedstawiała się następująco: dyrektor – Lech Bursa, klasa fortepianu – Leokadia Fijałkowska, Nina Kozielekówna, Władysław Piotrowski i Bazyli Rudicz. Klasa Śpiewu – Janina Kiepus-Osiecka i Stefan Rogowski-Mariański. Klasa skrzypiec – Bronisława Misiewska i Tomasz Osiecki. Klasa akordeonu i klasa przedmiotów teoretycznych – Lech Bursa. Sekretariat szkoły prowadziła Irena Rogowska-Mariańska.



foto. archiwum szkoły



SOSNart: O dziejach można dużo, pozwól sobie jednak nieśmiało zwrócić uwagę, że mamy mało miejsca...

D.G. Muszę jednak wymienić choćby najważniejszych absolwentów. Te nazwiska o czymś świadczą. No i choć dwa słowa o patronie.

SOSNart: Bardzo proszę. Skądinąd wiadomo, że szkołę Jan Kiepusa odwiedził w październiku 1958 roku zostawiając sławetne przesłanie : „Trzymajcie wysoko sztandar muzyki polskiej!”

D.G. Szkołę ukończyli m.in. Jadwiga Bobrowska (zmarła niedawno znana folklorystka, profesor Akademii Muzycznej w Katowicach, laureatka Nagrody Miasta), Czesław Grabowski (dyrygent i kompozytor, dyrektor Filharmonii w Zielonej Górze), prof. Lucjan Laprus (dyrygent i kompozytor, pedagog Akademii Muzycznej we Wrocławiu), prof. Lucjan Jaworski (wykładowca KUL, dyrygent Teatru Muzycznego w Lublinie), prof. dr hab. Małgorzata Woźna-Stankiewicz (Uniwersytet Jagielloński, Instytut Muzykologii), dr Joanna Gałka-Sobczyk (Uniwersytet Śląski), Marek Witkowski (dyrygent Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze”), prof. Henryka Januszewska (Akademia Muzyczna w Katowicach), Marta Klimasara (wybitna perkusistka), Andrzej Dudek (wioloncelista i kompozytor), bracia Marcin i Bartłomiej Oleś (czołowi przedstawiciele polskiego jazzu) czy Maciej Granat (świetnie zapowiadający się kompozytor i pianista).

SOSNart: Imię Jana Kiepusa Szkoła przyjęła?..

D.G. W roku 1995. Nie mogło być inaczej. To przecież najwybitniejszy z obywateli tego miasta i tak bardzo związany z muzyką.

SOSNart: Rozmawiamy w gabinecie w nowym budynku.

D.G. W latach 1985/1886 ruszyła budowa nowej szkoły, położonej zresztą bardzo blisko starej - po drugiej stronie nasypu kolejowego, przy zbiegu ulic Wawel i Legionów. Mimo wszczętych prac, termin oddania nowej placówki był jeszcze bardzo odległy. 25 lutego 1991 roku nastąpiło otwarcie pionu dydaktycznego sosnowieckiej Szkoły Muzycznej. W nowym budynku zaistniały warunki do pomieszczenia Szkoły Muzycznej II stopnia.

SOSNart: W której nie ma sali koncertowej...

D.G. Tak. Nie ma, ale ma wkrótce być. Nie dalej jak przed tygodniem odbyło się spotkanie w gmachu Urzędu Miejskiego z Pełnomocnikiem Prezydenta Panem Mateuszem Rykałą, Zastępcą Prezydenta Panem Zbigniewem Jaskiernią, naczelnikami oraz przedstawicielami wydziałów (Wydz. Rozwoju i Współpracy z Zagranicą, Inwestycji Miejskich, Kultury i Sztuki, Edukacji), na którym omawiano szczegóły dotyczące prac nad przygotowaniem niezbędnych materiałów, które pozwolą na złożenie wniosku o pozyskanie funduszy unijnych na budowę sali koncertowej.

SOSNart: Czym Szkoła żyje dziś?

D.G. Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia kształci uczniów w specjalnościach gry na fortepianie, akordeonie, instrumentach smyczkowych i gita-

rze, a także na instrumentach dętych i perkusji. Natomiast Szkoła Muzyczna II stopnia – przygotowująca młodzież do zawodu muzyka – posiada oprócz wydziału instrumentalnego, także otwarty od września b.r. wydział wokalny. Każdego roku młodzi artyści prezentują swoje umiejętności podczas koncertów i pokazów. Na szczególną uwagę zasługuje wymiana szkolna młodych sosnowiczank z młodzieżą z Roubaix, miastem partnerskim we Francji, podczas której młodzi muzycy dzielą się muzyczną wiedzą, zdobywają ciekawe doświadczenia, koncertują, a także nawiązują nowe przyjaźnie. Koncerty entuzjastycznie przyjęte zarówno przez mieszkańców naszego miasta, środowiska polonijne we Francji, oraz Francuzów świadczą o tym, że muzyka łamie wszelkie bariery. Wyrazistość i ekspresja artystów stają się być najlepszym z możliwych tłumaczy, a muzyka jest ponad wszelkimi podziałami językowymi, kulturowymi czy narodowościowymi. Bardzo przeżyliśmy ostatnią wizytę. Stąd zdjęcia wówczas robione, które zasługują na ich zaprezentowanie czytelnikom SOSNartu.

SOSNart: Kilka na pewno pokażemy. Bardzo dziękuję za rozmowę. Życzę wszystkim uczniom i pedagogom wielu, wielu sukcesów w tym pięknym, choć trudnym zawodzie.

D.G. Dziękuję za życzenia. Nawzajem życzę uznania czytelników, rozwoju i licznych ciekawych autorów.

rozmawiała: Ewa Kościńska



„WYRYWANIE ZĘBÓW PRZY DŹWIĘKACH SLAYERA”

- Post Proffesion znieczula muzyką w DK Kazimierz 17 stycznia

Witajcie chłopaki, chciałam napisać o Was, bo jesteście niezwykłymi ludźmi a wasz entuzjazm udziela się innym. Z tego, co wiem poznaliście się dość dawno i równie dawno rozstaliście, każdy obrał swoją ścieżkę, żeby później spotkać się znowu i realizować dawną pasję. Proszę opowiedzcie o początkach waszej muzycznej kariery. Jak powstał Post Profession? Jak długo gracie na swoich instrumentach?

Początki muzycznej kariery (śmiech) nie bardzo myśleliśmy, myśleliśmy i chyba nie będziemy myśleli o karierze sensu stricto, stąd nazwa Post Profession. Jedno jest pewne: każdemu z nas muzyka towarzyszy od zawsze Smok (Piotr Smok) grał z Maciem w Stasiu (IV LO im. St. Staszica), w szkole przysłuchiwał im się Miłosz i zainspirowany zaczął również brzdąkać na gitarze, ja (Bodek) kibicowałem im z całego serca, (bo też byłem tam uczniem) tyle, że we mnie emocje wtedy zebrane dojrzały nieco dłużej i głos wydałem z siebie jakieś 20 lat później, gdy chłopcy szukali wokalisty, żona wygadała się, że śpiewam przy goleniu (śmiech).

Jak więc widać czterech z pięciu z nas chodziło do Staszica i tak naprawdę ten właśnie czas (zresztą sprzyjający tworzeniu prawdziwych przyjaźni) połączył nas na tak długo. Początki Post Profession to listopad 2004. Jedno, co mogę powiedzieć to, to że stanowimy siłę nie do zatrzymania.

Jak znajdujecie czas na muzykę ?!

Czas na muzykę znajdujemy, dlatego, bo chyba każdy z nas zdaje sobie sprawę z tego, że bez pasji, w życiu, której realizacja jest odeskoczną od codzienności nie da się normalnie funkcjonować. Oprócz pieczenia pizzy, robienia zębów, ich leczenia, operowania przepuklin i naprawiania kręgosłupów trzeba mieć coś, co pozwoli wkroczyć w inną przestrzeń, tym czymś jest dla nas muzyka. Po wejściu do naszego studia wszystko inne zostaje na zewnątrz, za drzwiami, a my wkraczamy w naszą muzyczną krainę mocnych dźwięków.

Jaki gatunek muzyczny inspirowa Was najbardziej?

Jeśli chodzi o gatunki muzyczne stanowiące naszą inspirację hmmm... to dość trudne pytanie? Ja zakochany jestem w Porcupine Tree, Pain of Salvation, King Crimson, Camel, Marillion ale i w Opeth, Metallice, a z polskich brzmień w Riverside, After, Quidam, Miłosz preferuje ogólnie ujmując stary thrash metal, Smok oprócz metalu słucha też jazzu, czyli jak widać bardzo różna muzyka wdiera się nam w głowę, ale klucz jest jeden: musi nieść ze sobą emocje, a prywatnym kryterium jest moja gęsia skórka. I właśnie ta gęsia skórka spowodowała, że dołączyłem w lutym do Post Profession.

Widzę, że inspirowa Was muzyka z całej szerokości najcięższego z gatunków. A kto pisze teksty?

Teksty pisała Asia - żona Miłosza, naszego gitarzysty oraz sam Miłosz, Ola - żonka Piotra, naszego perkusisty i on, a odkąd dołączył do nas Bodek (nowy wokalista) to on przelewa na kartki swoje myśli.

O czym są te teksty?

O wszystkim, co się mieści w przestrzeni pomiędzy nadzieją rodzącą się życia i śmiercią zdrajcy, który nie wykorzystał swojej szansy na prawdziwą miłość. Teksty

są o każdej sekundzie życia i każdej sekundzie historii wszechświata, bo w każdej sekundzie ludzie się rodzą, pracują, kochają, kłócą, kłamią i umierają. Mówią o wydarzeniach tak tragicznych jak tsunami („Tsunami”), o pasji, która jest koniecznym warunkiem spełnienia („You and Me” czy „Real Passion”), o rodzącej się nadziei i jej zderzeniu z ludźmi z czerwonych dywanów („At the beginning”), o tym, że pewnie każdy chciałby w swym życiu więcej dni słonecznej dobroci niż dotyku zła („Pain of existence”), czy wreszcie o człowieku zza lustra, który widząc z tego miejsca trochę więcej niż tylko twarze przeglądających się w nim ludzi, pomaga facetowi zdradzającemu swoją żonę strzelić sobie w łeb (to nowy kawałek właśnie robimy („Man behind the mirror”).

Teksty są o tym, co dla nas ważne, o tym, co nam się nie

śluchaj, inteligentna z Ciebie kobitka, więc pewnie wiesz równie dobrze jak my, że jedyną osobą, która skutecznie może przeszkodzić nam w naszym życiu, jesteśmy my sami (śmiech). Już dawno wyleczyłem się, bowiem z próby panowania nad umysłami i zachowaniami innych. Tak, więc średnio mi przeszkadzają myśli innego człowieka, choćby nie wiem jak złe i pokreśne były wobec mnie. Mam naiwną wiarę w to, że fałsz i zło ludzkich myśli wcześniej czy później wróci do nich ze zdwojoną siłą; więc się bójcie złościny. A nad Waszymi umysłami i tak zapanujemy, ale naszą muzyką.

Wiem, że ostatnio powstało Wasze pierwsze demo. Powiedzcie, gdzie można Was usłyszeć? Jakie są Wasze plany na przyszłość?

Chcielibyśmy jak najwięcej grać, aby szersze grono



Skład Post Proffesion:
Grzegorz Bodzioch – wokół
Miłosz Plachciński – gitara
Maciej Narski – gitara
Piotr Czernik – gitara basowa
Piotr Smok – perkusja

podoba, o tym, co chcielibyśmy zmienić (też w sobie) i o tym, czego zmienić nawet nie próbujemy (w innych - śmiech). Często wtedy zadajemy tylko pytanie: - dlaczego? Chcielibyśmy, żeby inni też mieli szansę i mogli sami na nie odpowiedzieć.

Dlaczego śpiewacie po angielsku?

Śpiewamy po angielsku, bo jakżeż pięknie brzmią słowa: „with mother milk you drink your destiny” w porównaniu z polskim: „z mlekiem matki wyssałeś swe przeznaczenie” (śmiech)

Niestety w Polsce muzyka metalowa spychana jest za margines, a metale, w mniemaniu ogółu to pijacy lub czternastoletkowie jedzący koty. Panowie Doktorzy czy negatywny wizerunek fanów muzyki metalowej nie przeszkadza Wam w codziennym życiu?

publiczności mogło nas lepiej poznać. W tym roku nie graliśmy zbyt wielu koncertów, nasz gitarzysta Maciek wyjechał do Irlandii na ponad pół roku, ale za to w przyszłym roku obiecujemy odbić to z nawiązką. Najbliższe plany to koncert w Miejskim Domu Kultury w Kazimierzu 15.11.08 z kapelą Iscariota. Co do planów bardziej dalekosiężnych to na pewno przystąpimy do nagrania naszej pierwszej płyty. Niestety to nie nastąpi wcześniej niż za rok. Cały czas tworzymy nowy materiał i nie możemy się doczekać, kiedy przyjdzie ten najpiękniejszy moment, kiedy będziemy nim wreszcie mogli nakarmić dusze i umysły słuchaczy.

rozmawiała Grażyna Machura

Muariolanza



fot. Ryszard Gęsikowski

Pozwolę sobie zacząć od osobistej opinii – łączenie ambientu z jazzem (ba! łączenie ambientu z czymkolwiek...) od dawien dawna wydawało mi się dość karkołomnym pomysłem. Pewnie wydawałoby się tak dalej, gdyby okoliczności nie zaprowadziły mnie na koncert Muariolanzy w Zamku Sieleckim...

Zespół (w składzie: Mariusz Orzełowski - gitara, Marcin Babko - głos, Dominik Mietła - trąbka, Sylwester Walczak- bas, Pierre - perkusja, Żyła - wizualizacje), którego debiutancka płyta ukazała się w 2006 roku, wybrnął z tego swoistego miksu gatunkowego obronną ręką. Muzyka Muariolanzy jest bardzo przestrzenna, sensualna; pozwala się odczuwać. Świetna, wyraźna sekcja rytmiczna zestawiona została tu nie tylko ze schizotycznymi melodiami. Artyści w swoich nagraniach wykorzystują także dźwięki otoczenia; ich kompozycje aż roją się od pogłosów, zapętleń.

Na koncercie muzycy zaprezentowali utwory zarówno z debiutanckiej płyty **Muarioland**, jak i z ostatniego albumu **Po drugiej stronie Przemyśły**. Nie będzie żadną przesadą stwierdzenie, że w zasadzie każdy muzyczny kąsek nagrany przez



zespół został przyjęty przez publiczność z dużym entuzjazmem. Nic dziwnego – Muariolanza łączy w sobie to, co przyciąga na koncerty nie tylko miłośników ich charakterystycznego brzmienia. Członkowie kapeli zajmowali się w swoim życiu bardzo zróżnicowaną muzyką – poprzez jazz, folk, punk-rock, metal... - dzięki czemu udało im się

wypracować pewien kompromis muzyczny, pewną syntezę najlepszych brzmień.

Smaku koncertowi zdecydowanie dodawały wizualizacje, popołnione przez pana Żylińskiego. Psychodeliczne obrazy, przepuszczone przez photoshopowe filtry, przyciągały wzrok i tym bardziej podkreślały dziwną, pełną specyficznego uroku muzykę; dodawały jej tajemniczości (tutaj pstryczek w nos należałby się organizatorom koncertu – drodzy państwo, takich rzeczy nie pokazuje się w pełnym świetle!), zlewały się z dźwiękami i rytmią... Coś idealnego, zwłaszcza ...w późny, przedandrzejkowy wieczór.

Karolina Szota

K O M U N I K A T

V Ogólnopolski Konkurs Poetycki **O WAWRZYN SĄDECCZYNY**

Grupa Literacka „Sądecka”, Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu oraz Sądecka Biblioteka Publiczna im. J. Szuskiego w Nowym Sączu ogłaszają konkurs poetycki pod hasłem: **CZŁOWIEK I SACRUM**.

Utwory nawiązujące do tego wieloznacznego i stwarzającego liczne możliwości interpretacyjne tematu należy nadsyłać do końca maja 2009 roku na adres:

Sądecka Biblioteka Publiczna ul. Franciszkańska 11 33- 300 Nowy Sącz z dopiskiem na kopercie „konkurs poetycki”.

Wiersze nigdzie niepublikowane, nienagradzane i niewysyłane na inne konkursy w ilości od jednego do dwóch w czterech egzemplarzach prosimy opatrzyć godłem słownym. Godło proszę także umieścić w osobnej zaklejonej kopercie wraz z nazwiskiem autora, adresem, numerem telefonu. W konkursie będą brać udział najwyżej dwa wiersze jednego autora pod warunkiem, że nie zostaną przysłane oddzielnie.

Przewidziano liczne nagrody i publikację pokonkursową.

Zakończenie konkursu przewidywane jest we wrześniu 2009 roku.



absolwentka sosnowieckiego Liceum im E. Plater, z zawodu technik dentystyczny. Jej pasją jest literatura, podróże, „zadeptywanie szlaków górskich” głównie okolic Łącka, Nowego Sącza, Beskidów i Tatr. Pisanie zajęła się w 1999 roku,

MARIA GOLANKA

„ 45 + ”

Wszystkie przychodzące jej na myśl spotkania dotyczyły ostatnich, na których panienki, jak się określa potocznie młode i urodziwe kobiety pracujące w sekretariatach firm, przyjmowały jej CV i dyskretnie parafowały, umieszczając w rogu ową magiczną cyfrę, określającą jej wiek i kod w kształcie różnych owoców. Ponieważ miała często okulary w dłoni, myślały „nie dowidzi” i czyniły to przed jej wyjściem. A ona miała sokoli wzrok i kurzą ślepotę od komputera. Była więc narysowaną, pomarszczoną węgierką, połówką jabłka, starą gruchą i uschniętym strąkiem fasoli. Straciła pracę z powodu kryzysu bankowego. Zwalniano wtedy masowo, łącząc kilka etatów. Już dawno usłyszała określenie: śmierć zawodowa, ale to przecież nie mogło dotyczyć osoby, która przepracowała dopiero połowę lat do emerytury.

-Doskonała z pani siła fachowa, przeszkolił pani jeszcze niejednego rocznik - słyszała od dyrektora, surowego starszego pana.

Oburzała się, słysząc to określenie z ust młodych, trzydziestoletnich. Był starszy od niej o dwa lata.

-Depresja jakaś tam, żadne terapie, wkraczamy z lekami - powiedział lekarz.

Gubiła się w rzeczywistości dnia codziennego i wyła. Nie ściągała piżamy, chodziła w szlafroku i piła lekkie napoje alkoholowe. I jadła. Wiedziała, zajada stres. Głowa zdominowana najczarniejszymi myślami nie wiedziała co czyta, co ogląda. Leki zaczęły działać dopiero po miesiącu i łagodząc koszmar myśli, popychały ją powolnie w chęć do działania. Nabierała dystansu do siebie. Zniżyła nawet poprzeczkę oczekiwań. Zaczęła myśleć pozytywnie.

-W tej fazie leczenia już się pani „nadaje” na wymarzony rejs - powiedział lekarz.

Czasem w geście terapii, mówiła do siebie: nie nadaję się tylko do pracy w banku.

Rejs był spokojny, ocean był spokojny. Błąkała się bez celu, odwiedzała sale o dźwięcznych nazwach, aż trafiła do kaplicy. W ławce siedziała starsza kobieta w pięknej mantylce na kruczoczarnych włosach i chyba jej syn, chociaż w dzisiejszych czasach, należało być bar-

dzo ostrożnym nawet w domysłach. Pomógł pani wstać i zobaczyła, że jest jego babcią. Zsunęta z kolan torebka z hałasem upadła na podłogę. Gdy przechodzili koło jej ławki, nachylił się i z wypelnionym urokiem uśmiechem na twarzy, przeprosił za zakłócenie spokoju.

-Jest boski, a ja wracam do kondycji, bo sportuję i reaguję na świat - pomyślała.

Wieczorem na dyskotekę popatrywała na rozbawionych ludzi w różnym wieku.

W tańcu wirowała pochwałą życia, z wartościami nie ograniczonymi widełkami wieku.

-Zatańczymy? - usłyszała - czy mogę zaproponować lekkiego drinka? Chciałbym odkupić grzech hałasu i przerwania medytacji w kaplicy. Była pani tak skupiona. Nie przypuszczałem, że młoda kobieta potrafi zatopić się tak głęboko w myślach.

Zwróciła uwagę na „młoda” i przez chwilę ją to połaskotało.

-Dziękuję za drinka. Rano wysiadam na Gomerze. Mam już wynajętego jeepa, a tam wąskie i niebezpiecznie kręte drożki. Przepraszam, będę musiała pana pożegnać i pójść spać.

-To może zatańczymy? Od początku rejsu podoba mi się pani i jestem wdzięczny babci za upuszczenie torebki. Nie miałbym odwagi odezwać się. Sprawia pani wrażenie nieprzystępnej, może nieobecnej. Nie, raczej zatopionej w swoim wnętrzu. Wyróżnia się pani urodą, pod której urokiem pozostaję od tygodnia. Poczula ciepło nie tylko w sercu.

-Będzie zimno w górach - mówił przewodnik - proszę zabrać najcieplejsze kurtki, jakie mają państwo ze sobą. To kraina wilgoci i mgieł.

Wycieczkę i niebezpieczeństwo zagubienia się omówiono szczegółowo.

-Tutaj tylko czarownice odnajdują radość w omszałych gęstwinach - postraszył.

Przestudiowała mapę maleńkiej wysepki i wsiadła do odkrytego jeepa. Miasteczko, będące stolicą wyspy było maleńkie. San Sebastian, miłosna przystań Kolumba. Moją miłosną przystanią przez dwadzieścia lat był bank. Kupiła sobie dzwonek do kolekcji i ruszyła w turę.

-Niesamowite - mówiła widząc wysokie ciemne szczyty pokryte czapą mgieł, która gnana wiatrem od oceanu, przelewała się powoli przez nie jak wodospady.

Mroczne otoczenie pokryła mgła. Wilgoć kładła się na jej twarzy. Obok głowy przefrunął ptak. Usłyszała kilka gwizdów. Wiedziała, ciekawostką wyspy było porozumiewanie się z powodu małego zaludnienia i odległości osad, językiem gwizdającym el silbo. Skręciła w ścieżkę oznaczoną tabliczką „Do punktu widokowego”. Gwizdy powtó-

rzyły się niebezpiecznie blisko. Potknęła się o wystający korzeń i but potoczył się kilka metrów niżej. Włożyła weń mokrą stopę i szła stromą ścieżką. Czuła się dziwnie. Zwłaszcza w chwili, gdy ptak z głową podobną do jaszczurki, usiadł na gałęzi krzaka. Wraz z donioślejszymi gwizdami pojawiali się ludzie. Szli jakby przez nią. W rękach mieli kartki papieru i wygwizdywali z nich tekst, którego nie było. Szły kobiety i mężczyźni. Wszyscy lekko przygarbieni. Niektórzy z wykrzywionymi bólem twarzami, inni ze zdziwieniem tak wyraźnym, jakby ich w tej chwili czymś zaskoczono. Pogwizdywali. To było nie do zniesienia. Ptak, który z ornitologicznego punktu „w ogóle nie istniał”, zagwizdał tak donośnie, że krzyknęła czując ból w uszach. Ludzie przepływali przez nią i pociągali za sobą jej nogi. Teraz odwracali w jej kierunku głowy i szyderczo się uśmiechali. Tuż przed nią rozpyłali się we mgłę. Zrobiło się dziwnie cicho. Patrzyła osłupiała na napisy na ich przygarbionych plecach: 45 z olbrzymim plussem.

-Uczestniczę we własnym pogrzebie. Nie, ja zwariowałam.

Niosła siebie jak w milczącym kondukcie żałobnym, ostemplowaną ze wszystkich stron napisem, a właściwie cyfrą „45 +”.

Zaczęła rozglądać się wokoło. Było pusto i przeraźliwie cicho. Nie, nie było pusto. Straszdyło z gębą jaszczura szczyrzyło w uśmiechu chitynową płytę zębową.

-A ten upiór czeka na moje ścierwo?

-Zwariowałam!

Usłyszała, że jej głos, dzwoni jak wielki dzwon na kościelnej wieży. Przypomniała sobie, że w pośpiechu poranka nie wzięła leków „na depresję”.

-Mam je przecież w torebce!

Ale torebki nie miała. W ciemnościach wawrzynów zaczęła szukać ścieżki. Usłyszała szepot oceanu.

-No to jestem na punkcie widokowym - pomyślała.

Szła zamyślona nie zwracając uwagi, że ziemia kończy się tuż przed jej stopami i zaczyna się piekielny żleb. Czuła potrzebę porozmawiania z kimś, kto chciałby ją wysłuchać. Nie pisała pamiętnika. Trudno było nim nazwać blog, w którym oprócz współczucia, słów pocieszenia, pojawiały się ludzka nienawiść. Nie przejmowała się tymi opiniami, no może trochę, ale to oni wydawali świadectwo sobie. Każde dobre słowo od takich, jak ona kobiet, które poradziły sobie z problemem śmierci zawodowej, ładowało jej akumulatory. Ale jej była potrzebna zwykła rozmowa. Roztarła dłonią wilgoć po twarzy. Stała na cienkiej półce zawieszanej nad przepaścią. Przysiadła przerażona. Za luźny but spadł ponownie ze stopy. Czuła się podłe. Miał być widok zapierający dech, a tymczasem dech zapierały jej powracające myśli. Ujęła twarz w dłonie i zaszlochała. Ptak który nie powinien istnieć, przeleciał potrącając mocno jej ciałem w przód.

Jak z innego świata dobiegł do niej krzyk.

-Znalazłem pani torebkę, kilka metrów poniżej głównego szlaku i wreszcie panią znalazłem! gdzie się pani podziała?

Literaturę - szczególnie poezję - traktuję, jak artystyczny środek wyrazu oraz jako środek dokumentacyjny, ekspresyjny, poznawczy, publicystyczny - nawet komentatorski, a także rozrywkowy i estetyzujący. Jest to bowiem zarówno zapis subiektywnego stanu ducha twórcy, dokumentujący przy okazji etap jego rozwoju, jak i - w zamierzeniu - obiektywny ogląd rzeczywistości, podany w zarówno komunikatywny, jak i atrakcyjny gatunkowo sposób. Ważna jest zarówno treść, jak i forma utworu. Zarówno witkacowski postulat czystej formy, jak i postmodernistyczne zabiegi dekompozycyjne wydają mi się jedynie interesującym eksperymentem - niczym więcej. Wg mnie Logos wymaga raczej czytelnej, niż czystej formy.

JERZY
FILA

VERBA VARIA

*Słowa pogrzebane, słowa pogubione, słowa pomyłone, słowa przeinaczone,
Słowa zatuszowane, słowa wytarte, kleksy!*

*Słowa wyświechtane, odarte ze znaczenia
Słowa zdewaluowane, słowa zdenominowane.
Słowa zdegenerowane: pęknięte, spauperyzowane,
nadużywane, zdewerbalizowane.
Słowa oprostowane*

*Słowa - narzędzia nowomowy
Słowa - instrumenty upodlenia*

*Słówka łechcące próżność uzurpatora języka.
Słówka czułe służące do szeptania.
Słodkie kłamstwa.*

*Półśłówka, którymi można grać.
Półśłówka, z których nie można nawet skleić zdania.*

*Wyszły z ukrycia słowa wywabione.
Upomniaty się o rzeczywistość.
Nazwały.*

*Tęgie byki, eufemistycznie zwane anakolutami.
Słowa skrobane żyłką, słowa gumowane,
słowa wydrapywane, słowa uliczne.
Parkanowe.*

*Słowa wytrychy, słowa sztylety, słowa hasła.
Słowa zachęty, słowa uznania, słowa przestrogi,
słowa potępienia....*

*Bluznęło językiem, chlapnęło ozorem i wypłuło knebel!
Na dodatek kłódkę zżarła rdza.
I jak tu zamknąć gębę?*



PROSZĘ CZEKAĆ - BĘDZIE ROZMOWA!

*Będzie rozmowa -
Wielka rozmowa -
Ogromna rozmowa -
Zamiejscowa!*

*Nienawiść będzie syczeć na tęczach:
Będą przetrzącać, będą rozłaczać.
Będą nakręcać, będą rozkręcać.
Będą wykręcać, będą... przekręcać.
Będą bulgotać, będą bełkotać,
Będą szczebiotać, będą świergotać,
Będą trajkotać, będą terkotać
Będą... szwargotać!*

*Będzie rozmowa
Wielka rozmowa
Ogromna rozmowa*

*Telefonowa!
Komórkowa!
Bezprzedmiotowa!*

ESSE EST PERCIPI

*Baletnica na linie
U sufitu cyrku...*

*Doszła do połowy
I runęła w dół!*

*A spadając, jak grom
Jeszcze szeptała pytanie:
Być albo nie być?*

*Po wielowiekowym milczeniu
Sztuka cyrkowa
Przyznaje się
Do zadawania
Podchwytliwych pytań*

*Esse równe percipi
Percipi równe esse?*

PIOSENKA

*Żeby sól zawsze była w solniczce,
A pies merdał ogonem,
Palita się świeca w kapliczce,
Podwórze było zamiecione.
Żeby obiad zawsze był ciepły,
Kanarek rozśpiewany,
Żeby szczury z piwnicy uciekły,
A ojciec nie wracał pijany.
Żeby masło było masłem maślanym,
A z kranu płynęła woda,
Żeby mleczarz przychodził nad ranem,
Żebyś Ty powiedziała : Zgoda!
Żebyś Ty powiedziała "zgoda"
Nie śpiewałbym tej piosenki.
Żebyś Ty powiedziała : Zgoda!
Ale Ty wolisz panienki!*



A jednak NAGRODA.

Informowaliśmy kilka tygodni temu, że książka Romualda Pawlaka

Miłek z Czarnego Lasu jest nominowana do nagrody Polskiej Sekcji **IBBY (International Board on Books for Young People)**.

10 Grudnia na uroczystej gali ogłoszono, że

Miłek z Czarnego Lasu został **KSIĄŻKĄ ROKU!**

Autorowi serdecznie gratulujemy! Jest nam tym milej, że Romuald Pawlak jest sosnowiczanie.

Miłek na dobre zamieszkał w Czarnym Lesie. I szybko się przekonał, czym jest prawdziwa ciekawość. A to za sprawą Kaladyna. Kronikarz zaczął go nachodzić, prosząc o opowiadanie jakiejś zajmującej historii. – Bo chciałbym ją opisać – wyjaśnił.

Teraz wędrował za zaspanym Miłkiem, który wstał chwilę temu i przed wypiciem pierwszej herbaty snuł się po norce niby duch.

Co więcej, Miłek miał swoje problemy, które były dla niego ważniejsze niż jakiś tam wpis w kronice Kaladyna.

Wczorajszego wieczoru nakrzyczał na Tupetkę, która wędrowała za nim niby cień przez pół dnia, zupełnie jak Kaladyn. A gdy Miłek schował się w norce, przysłała i tu, tłumacząc, że musi sprawdzić, czy nowy ładny brązowy kamyk, który znalazła obok Stadionu, będzie pasować do tych dwóch, którymi wcześniej ozdobiła ścianę. Zachowywała się, jakby to była jej norka!

– No, przecież musisz znać jakieś ciekawe historie. – Kaladyn nie zauważył zamyślenia Miłka. Tak energicznie machnął swoją księgą, że prawie wytrącił Miłkowi kubek z herbatą.

Ten westchnął ciężko. Pojął, że nie pozbędzie się łatwo kronikarza.

– No tak, ale jak je opiszesz, wtedy będzie to Kronika Miłka, a nie Kronika Czarnego Lasu – mruknął.

Tego Kaladyn się nie spodziewał. Zamrugał oczyma, po czym zafrasowanym gestem potarł pasiaste futerko. W zdenerwowaniu jego uszy nastroszyły się mocno. Zaraz jednak lewe ucho opadło trochę niżej, przez co zamiast wyglądać jak poważny kronikarz, zaczął przypominać niesforne psa.

Wkrótce jednak w jego spojrzeniu pojawił się błysk zwiastujący, że wpadł na jakiś genialny pomysł.

– Ale jak ty coś zrobisz w Czarnym Lesie, to się nada! O! – i wyjął pióro, aby być gotowym na opisanie tego, co Miłek robi.

– Ale co miałbym zrobić? – odparł zaskoczony Miłek i dla ukrycia zmieszania upił kolejny łyk herbaty. Była gorzka. Zagadywany przez kronikarza,

Miłek z Czarnego

FRAGMENT

zapomniał sięgnąć po cukiernicę. Przemknęła mu przez głowę myśl, że najlepsze, co mógłby teraz zrobić, to uciec. Ale to chyba nie nadawałoby się do opisanie. Bo jak kronikarz miałby wyjawiać, że wszyscy od niego uciekają?

– Cokolwiek! – wrzasnął Kaladyn i podskoczył z irytacji, że jego rozmówca nie rozumie tak oczywistej sprawy.

– Nie umiem robić cokolwiek – ostrożnie rzekł Miłek. – Zawsze robię coś. Albo nie robię nic...

Na to Kaladyn obrażonym ruchem wsadził księgę pod pachę. Jego uszy znów nastroszyły się bojowo.

– Mówisz jak Semper. To znaczy jak już coś powie – burknął nadąsany i wyszedł z norki, zamiatając ogonem.

– Czasem żałuję, że w ogóle mówię – smutno westchnął Miłek.

Albo kronikarz pewnie już tego nie usłyszał.

Grzejąc się w promieniach słońca przed norką, Miłek smętnie rozmyślał o zachowaniu Tupetki.

Ona była tu u siebie, a on – tylko przybysem. Być może zachowywała się tak jak zawsze, jak wobec wszystkich. I nie było w tym niczego niestosownego.

Jednakże Miłek, chociaż miał już własną norkę i powoli zaprzyjaźniał się z mieszkańcami Czarnego Lasu, wciąż odczuwał pewną nieufność wobec tak bezpośredniego zachowania. Za wiele przeszedł, potrzebował spokoju. Tupetka trochę go irytowała albo wprawiała w zakłopotanie.

Czy wobec tego powinien odejść?

Od wpadnięcia w melancholię – bo takie rozmyślanie tylko pogłębiają smutek – uratowali go Syczek z Kaladynem. Zaniepokoił się nieobecnością Miłka i postanowili go odwiedzić. Zobaczyli ich, jak żywo o czymś rozprawiając, wchodzą na zbocze. Kierowali się w stronę krzaka głogu, który niczym kompas wskazywał mieszkanko rudzielca.

– Przyszliśmy na herbatę – rzucił z uśmiechem Kaladyn, kiedy byli już blisko. – Bez uprzedzenia, ale chyba nas wpuścisz?

Parząc herbatę, Miłek uświadomił sobie, że nawet czajnik jest od Tupetki.

Herbata, której paczkę podarowała mu Relia, była naprawdę smaczna. Obaj goście popijali ją drobnymi łyčkami, jednocześnie rozglądając się po jego norce. Mimo starań Tupetki, wciąż była bardzo skromnie urządzona. Nie jest łatwo poczuć się gdzieś jak u siebie i zacząć gromadzić różne przedmioty, po których poznaje się, że gospodarz czuje się swobodnie i pewnie.

– Nie powinieneś się tak przejmować – nagle Kaladyn przeszedł do tematu, który ich tu sprowadził.

Miłek skrzywił się, jakby zabolął go ząb.

– Ja już nie mogę z nią wytrzymać – wyznał z ciężkim westchnieniem kogoś, kto z jednej strony chciałby się zaprzyjaźnić ze wszystkimi, a z drugiej nie umie tego zrobić bez wpadania w zdenerwowanie czy paraliżującą nieśmiałość. – Ona wszędzie za mną chodzi, a w mojej norce czuje się jak u siebie.

– Tupetka wszędzie czuje się jak u siebie – roześmiał się Syczek. – Żebyś ty widział, co wyprawiała u Sempera, zanim ją przegonił! Nikt nigdy nie widział, żeby nasz mędrzec wypowiedział tyle słów, co tamtego dnia. Chyba z tysiąc, w tym połowę bardzo brzydkich – dokończył z szerokim uśmiechem. – A ona chciała tylko, żeby jej doradził, wisiorek z jakim minerałem najlepiej pasuje do jej charakteru i urody.

– Ona mnie męczy – jęknął Miłek. – A ja potrzebuję spokoju.

Syczek, jak to Syczek, pokiwał współczująco głową, ale na tym jego porady się zakończyły. Natomiast Kaladyn...

Otworzył usta, poprawił swoją księgę i nieoczekiwanie rzekł:

– Miłku, borykanie się z kłopotami jest wpisane w życie. Jesteś tu nowy, stąd te lęki. Ale jeszcze się przekonasz, że ona jest dobra.

Kiedy przebrzmiało echo tych słów, sam kronikarz wydawał się najbardziej zaskoczony tym, co powiedział. To znaczy swoją mądrością. Bo w gruncie rzeczy niezbyt dobrze znał Tupetkę.

Zaraz jednak się uśmiechnął i dla podkreślenia wagi tej przenikliwej myśli znacząco stuknął w oprawę swojej księgi. Przecież prawdziwy kronikarz powinien rozumieć więcej niż zwykli mieszkańcy Czarnego Lasu, prawda?

– Trrr! Trrr!

Kiedy płyniesz po spokojnych falach drzemki, unoszony snem o jedzeniu owoców głogu, taki przerażający dźwięk, przebijający się z jawy potrafi sprawić, że w pierwszej chwili nie wiesz, gdzie się znajdujesz, co się dzieje – i dokąd uciekać.

– Trrr!

Miłek wyskoczył z łóżka niby dżgnięty czymś ostrym i jeszcze zamroczony snem, popędził w stronę wylotu norki. Wpadł na drzwi, jęknął, drżącymi łapkami odepchnął kamień i wypadł na zewnątrz...

– Trrr! – potwór hałasował za jego plecami. – Trrr...

I nagle coś go z całej siły uderzyło. Ze strasznym krzykiem bólu i grozy zapadł się w ciemność...

Najpierw poczuł na czole przyjemny chłód kompresu. A potem nad jego głową rozległ się głos:

- Jak widać, przyglądanie się księżycowi czasem się przydaje. A mówiłeś, że nie.

Głos należał do Tupetki. Kiedy Miłek z trudem rozkleił powieki, zobaczył ją i Pakosza, jednego z Kibaków. Poprawiła biały, mokry opatrunek, żeby nie zasłaniał mu oczu.

- Co się stało? – spytał Kibak, patrząc na Miłka z niepokojem. Nie co dzień ktoś zostaje znaleziony obok własnej norki z rozbitym głową. Gdyby nie Tupetka, szukająca romantycznych uniesień w świetle księżyca, i to niedaleko norki Miłka, kto wie, do jakiej tragedii mogłoby dojść?

- Ścigał mnie jakiś straszny głos – jęknął Miłek. – Spałem, a on wszedł do mojej norki i... – tu Miłek bez sił opadł na posłanie. I tak zresztą nie wiedział, co działo się dalej, zapamiętał tylko ten dźwięk, potworne uderzenie i ból.

Kibak poszedł sprawdzić, kto zajął norkę Miłka. W tym czasie zaniepokojona Tupetka trzymała Miłka za łapkę. Musiał przyznać, że jej futerko bardzo ładnie pachnie. A poza tym, od dawna nikt Miłka nie trzymał za łapkę, a bardzo to lubił.

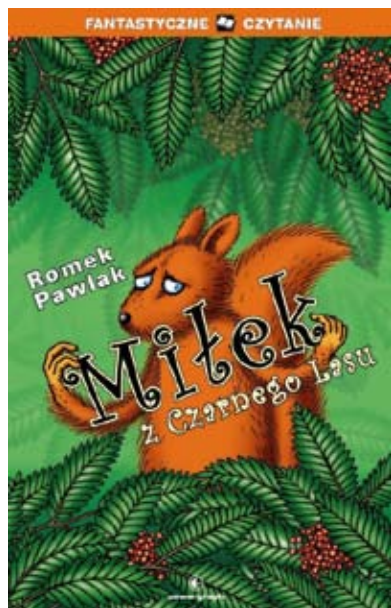
Pakosz wrócił po dłuższej chwili. Minę miał dosyć dziwną.

- Tak jak myślałem... – wymruczał. – To musiał być telefon, który Tupetka wstawiła dla ozdoby twojej norki. One czasem dzwonią same z siebie. Więc jednak nie był zepsuty – dodał po chwili zastanowienia.

Miłek tylko westchnął.

Jak to powiedział Kaladyn? Tupetka taka już była. A dzwoniący telefon to tylko przypadek.*

*Romuald Pawlak, "Miłek z Czarnego Lasu".
Wyd. POWERGRAPH, Warszawa 2008.



„Przeciw poetom”

13 grudnia w sosnowieckiej Art Cafe Muza odbyło się rozstrzygnięcie II edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Przeciw poetom”. Jury w składzie: Paweł Barański, Paweł Sarna, Jerzy Suchanek, Ewa Pichnor (sekretarz jury) przyznało następujące nagrody:

I nagrodę dla **Rafała Derdy** z Torunia, II nagrodę dla **Michała Podstawskiego** z Rudy Śląskiej,

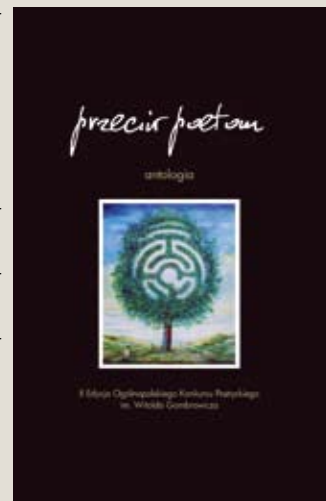
III nagrodę dla **Roberta Króla** z Krakowa

oraz trzy równorzędne wyróżnienia dla: Czesława Markiewicza z Zielonej Góry, Mariusza Cezarego Kosmali

z Legionowa i Pauliny Korzeniewskiej z Zielonej Góry

Wiersze 36 finalistów zostały wydane w formie antologii „Przeciw poetom”.

Organizatorem Konkursu jest Związek Zagłębiowski, sponsorem - Prezydent Miasta Sosnowca oraz Zarząd Województwa Śląskiego. Partnerami tegorocznej edycji są Miejskie Centrum Kultury w Mysłowicach, Miejska Biblioteka Publiczna im. Marii Nogajowej w Czeladzi oraz Art Cafe MUZA.



Michał Podstawski ur. 1987, Ruda Śląska

Bejrut

*Nawet Bejrut śmierdzi gnijącym mięsem,
herbatą z mięty, a niebo jest błękitne i ciepłe,
ogromne jak ściana, podrapane
miedzianą czapką meczetu.*

*Błękit więc, czerwień, prosty poemat o zachodzącym słońcu, ale też więcej,
powietrze jak szalik, jak ścierka do podłogi,
albo oczy, białe, z gorzką pestką brzoju w środku:
znów więc kolory, nigdy dość, miąsz tego,
co można powiedzieć, co czytamy,
z lewej strony na prawo i na powrót,
gdzie cała barwa, gdzie zapach, rozwłóczony przez psy,
gdzie granica obrazu, gdzie niejasne królestwo spisanej pamięci.
W istocie, właśnie tak wspominam Bejrut:*

*słońce jest śliwką, morze balią mydlin.
Chyba w końcu tutaj okrzyk stał się architekturą przestrzeni,
mostem pomiędzy barykadami z piasku, sufitem poematu,
asfaltem pod gąsienicami czołgów.*

*Na razie porządek panuje po obu stronach muru,
w każdej z uliczek tak samo smakuje herbata,
tak samo śmieją się talerze z blachy,
język tak samo płata ścieżkę swojej historii, wciąż jeszcze,
choć rozpalony błękit już tańczy na krawędzi żyletki,
na bagnietach śpiących żołnierzy,
w olbrzymich oknach modnego hotelu.
Ile pocałunków w tym mieście*

*– morze z bielą, granit z plastikiem, zeschnięty obłok ze skałą –
i tylko wciąż z dwóch stron przekrwione oczy z brzoju,
zatonione w swoich żrenicach, chłodne, wilgotne,
jakby wilcze, jakby rzucić się miały do własnych gardel,
jakby zamknięte w kącie ciasnego pokoju, wystraszone do granic,
do najtrudniejszej spośród decyzji: teraz albo nigdy.
Wieczorem nawet kościoły podają sobie ręce ponad ruchliwą ulicą,
z uśmiechem, z czerwonym rumieńcem wstydu, niedługo po osiemnastej;
i tylko śmierć w Bejrucie zawsze wygląda tak samo, pachnie żywicą
spalonego cedru, w lufach karabinów gwizdzą wciąż tę samą piosenkę.*



Miło nam poinformować Czytelników, sympatyków fotografii, że sosnowiecki twórca **Zbigniew Podsiadło** został laureatem dwóch prestiżowych konkursów. Na zorganizowanym w Szczecinie Międzynarodowym Konkursie MKFK 2008 zdobył Pierwszą Nagrodę oraz w drugiej edycji Konkursu Fotografii Przemysłowej i Industrialnej „FOTO PEIN 2” w Rybniku zdobył Główną Nagrodę w kategorii „INDUSTRII” Gratulujemy !
zamieszczamy jedną z nagrodzonych prac Zbigniewa Podsiadło.

BEZ TYTUŁU (NA WSZELKI WYPADEK)

Każdy, komu przychodzi coś nazwać, zatytułować, staje przed kłopotliwym zadaniem. Tytuł ma bowiem zwrócić uwagę, zachęcić, także oddać istotę artykułu, obrazu, wiersza, książki, czy czego jeszcze chcecie, a również podsunąć trop interpretacyjny. Nie łąda zadanie. Zwłaszcza, jeśli tytuł ma być udany. Dlatego też - mniemam - wielu poetów stosuje trzy gwiazdki, wielu malarzy wystawia obrazy „bez tytułu”. Gorzej z dziennikarzami. Jakoś trudno sobie wyobrazić notatkę dziennikarską opatrzoną tylko ***. Tytuł musi być. Pamiętam z własnych doświadczeń, że na wymyślenie tytułu trzeba poświęcić najwięcej czasu i wysiłku - jeśli tak można powiedzieć - intelektualnego. Pojawiają się zatem tytuły krótkie, jednowyrazowe, albo - dla odmiany - barokowo rozbudowane. Wymyślono nadtytuł, podtytuł i śródtytuł, wszystko po to, by czytelnika zainteresować i przymusić do lektury całego materiału. Z miernym powodzeniem zresztą, bo jak wynika z badań, prztlaczająca większość odbiorców prasy ogranicza się do lektury tytułów jedynie i na tej podstawie wyobraża sobie świat. Tu właśnie tkwi niebezpieczeństwo i wielkie pole do popisu dla wszelkiej maści świadomych i nieświadomych manipulatorów.

Niedawno przeczytałem w jednej z gazet zgrabnie sformułowany tytuł. Pozwolił sobie przytoczyć, bo tego wart: „Profesorowie orzekli, że można bić dzieci”. Profesorów szanuję, los dzieci nie jest mi obojętny, zatem rażno zabrałem się do lektury. I cóż się okazało? Otóż okazało się, że grupa ekspercka (właśnie owi profesorowie) poddali krytyce projekt ustawy w sprawie bicia dzieci. Pytam zatem, skoro uznano, że projekt ustawy zakazujący bicia jest zły, to znaczy że tłuc należy? Jawny nonsens i oczywista manipulacja. Tłumacz się teraz profesorze!

TOKOWISKO

A skoro już zaczęło się o dzieciach i biciu mam ochotę nieco temat rozwinąć. Z uporem bowiem staram się - przy swych skromnych możliwościach - zwracać uwagę, że zamykanie spraw kultury, obyczaju, fizjologii czy wręcz życia całego w kodeksach i paragrafach do niczego dobrego nie prowadzi.

Przechodząc ulicą i widząc plakat z wizerunkiem pięknej, młodej mamy trzymającej na rękach urocze dzieciątko aż wzdrzgam się wewnętrznie na sugerowaną w podpisie myśl, że można te cudowne stworzenia bić! Coś podobnego zdarzało się niestety i zdarza się nadal, ale przecież jest to margines, który powinien stać się przede wszystkim przedmiotem zainteresowania psychiatrii, bo trzeba być zdeklarowanym psychopatą, by coś takiego robić. A tymczasem niedwuznacznie sugeruje się nam wszystkim, że wystarczy ustawa i problem zniknie. Otóż nie zniknie, a może nawet nasili się, bo zachowań patologicznych paragrafem się nie wyeliminuje. Liczne przykłady mogą przytoczyć.

Przypomina mi się żart - niegdyś przed laty, przy okazji którejś z permanentnie przeprowadzanych reform oświaty - publikowany w prasie. Władca mówi: życzę sobie, aby mój naród był narodem wykształconym, rozkazuję przeto rozdać wszystkim dyplomy!

Normalni ludzie (także zwierzęta) pragną, aby ich potomstwo było zdrowe, wesołe i szczęśliwe. To wymaga wysiłku, opieki i troski. Nie wystarczy - a wręcz szkodzi - jeśli dominować będzie myślenie, że wystarczy ustawa nakazująca, aby tak było.

Cały świat, także ten niechrześcijański, obchodzi właśnie narodziny Dzieciątka. Niech ten felieton będzie z okazji i dla uczczenia.